



Arctic Monkeys Humbug

Domino Recording 2009

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●○○

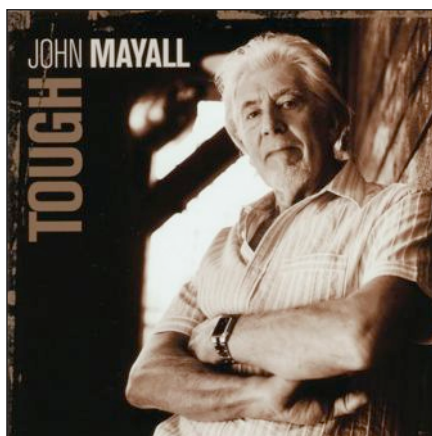
Długo słuchałem tej płyty, chcąc zrozumieć, za co zespół jest aż tak ceniony. Od wydania EP-ki z utworami „Fake Tales of San Francisco” i „From The Ritz to The Rubble” w 2005 roku nazwa angielskiej formacji prawie nie znika z prasy muzycznej. „Humbug” to jej trzeci album.

Muzycy Arctic Monkeys nie idą na łatwiznę. Warstwa instrumentalna jest urozmaicona, od czasu do czasu pojawiają się ciekawe harmonie wokalne, ale... No właśnie. Brakuje kropki nad „i”. Gitary nawiązujące do stylistyki punkowej i synkopowany rytm to główne cechy repertuaru. Przesłuchując kilkakrotnie poszczególne kompozycje, tylko raz trafiłem na motyw, który dłużej pozostaje w pamięci. To fragment kompozycji „Secret Door”, zaczynający się od słów „Fools on parade...”. Porywający. Poza nim nie ma tu nic wystrzałowego, a przynajmniej takiego, co by uzasadniało olbrzymie zainteresowanie zespołem.

Podobno muzycy po raz pierwszy zaprosili do współpracy nowego producenta Josha Homme'a, który udostępnił im swoje studio „The Joshua Tree”. W końcu trzeba sobie pomagać. Nie wiem tylko, czy dzięki temu album wzbogacił się o dodatkową wartość.

Mały plus należy się za okładkę. Digi-pack zawiera książeczkę z tekstami, a sam kompakt zapakowano w osobną obwolutę, a nie wciśnięto między tektury, jak to się ostatnio zwykle dzieje. ■

Grzegorz Walenda



John Mayall Tough

Eagle Records 2009

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●○○

Gwiazdy rocka potrafią starzeć się z klasą. Przykładem choćby szalejący po światowych scenach 60-letni Stonesi. Ale nawet oni i obchodząca niedawno 70. urodziny Tina Turner to „młodzież” w porównaniu z Johnem Mayallem, który skończył 76 lat.

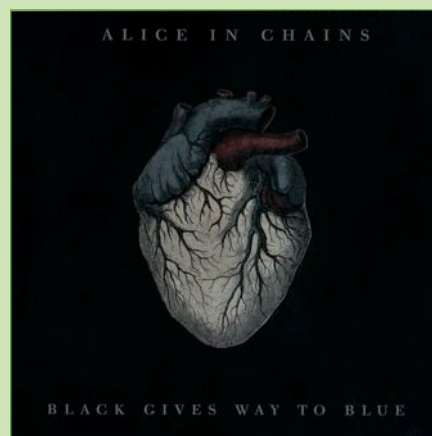
Tymczasem ten ostatni nie zerwał z muzyką. Wręcz przeciwnie - wydał płytę, która nie odbiega poziomem od produkcji innych wykonawców. Odznacza się za to żywiołowością, której wielu młodszych muzyków może staremu wędze pozazdrościć.

Mayall zdaje sobie sprawę z upływu czasu i opowiada o burzliwym życiu. „Dni zaczynałem o północy...” – zwierza się w kompozycji „Slow Train To Nowhere”. Wspomina okres, kiedy budził się rano w otoczeniu ludzi, których nie poznawał, bo w trakcie nocnego balowania przesadził z alkoholem. Przyznaje, że był to zły pomysł na życie. Teraz się usatkwował i poszukuje ocalenia w miłości.

No i w muzyce, bo zawartość „Tough” jest nie tylko ciekawa pod względem artystycznym, ale i optymistyczna. Wprawdzie bluesman nie może się pogodzić z kiepskim poziomem rocka w radiu („That Good Old Rockin' Blues”) i ma poważne zastrzeżenia do światowej ekonomii („Tough Times Ahead”), ale nadal potrafi niezłe zagrać na 12-strunowej gitarze („Numbers Down”), czy poszaleć przy klawiszach Hammonda („Just What You're Looking For”).

Mayall dla tych, co go znają, choć nie tylko. ■

Grzegorz Walenda



Alice in Chains Black Gives Way to Blue

Virgin Records 2009

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Wrócili, po czternastu latach, nową i starannie zrealizowaną płytą. Bez wtórności i hucpiarskiego kopiowania zgranych pomysłów, które kiedyś przyniosły im sławę i pieniądze.

Pomimo pozornego muzycznego eklektyzmu przeważa styl rozpoznawany przez fanów zespołu na całym świecie. Rezygnacja z części psychodelicznego, grunge'owego sztafażu wyszła nagraniom na dobre.

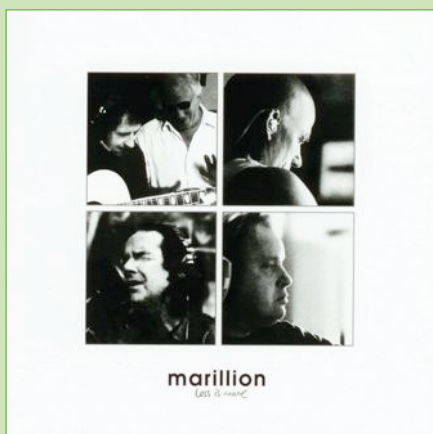
Wokalista Wiliam DuVall bez cienia kompleksów zastąpił zmarłego Layne'a Staleya. Często brzmi niemal identycznie jak jego legendarny poprzednik, co tylko dodaje albumowi pikantnego smaczku. Jak za najlepszych czasów grupy brzmią zharmonizowane wokale DuValla i Cantrella.

Ten drugi jest autorem większości utworów. Niezwykle zdolny muzyk, który udowodnił, że to on, a nie Staley stoi za sukcesem „Alicji” na rynku muzycznym.

Niemal każdy utwór jest perfekcyjnie dopracowany. Nie brakuje charakterystycznych twardych, metalicznych riffów i dynamicznych kontrastów. Materiał solidnie skrojony i mocno zsztywniony. Zdarzają się również numery niemal popowe („Check My Brain”) i wzruszające („Black Gives...”), gdzie pobrzmięwa fortepian Eltona Johna.

Rankingi pokazują, że wielbiciele pokochali nową płytę łącznie z okładką. A reszta? Każdy, kto zechce zahartować swoje uszy nieco cięższym graniem, lepiej trafić nie może. ■

Mirosław Szymański



Marillion Less is More

Intact Records 2009

Dystrybucja: Warner Music

Muzyka: ●●●●●

Realizacja: ●●●●○

Progresywna formacja Marillion sporo straciła na odejściu Fisha. Charakterystyczny głos i charyzma tego wokalisty przyciągały na koncerty tysiące fanów. Steve Hogarth to już inna bajka. Jego głos porusza się w zupełnie innych rejestrach. Nie jest to jednak wadą, czego dowodem „Less is More”.

Znane utwory Marillion przedstawiono tutaj w akustycznej oprawie. „Mniej znaczy więcej” – sugeruje tytuł. Czy rzeczywiście? Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć, ponieważ nie znam wszystkich kompozycji w elektrycznych wersjach. Mogę za to ocenić repertuar płyty, a ten wydaje się interesujący. W składzie Marillion nie ma może wyróżniających się instrumentalistów, za wyjątkiem świetnego gitarzysty Steve’a Rothery, ale członkowie grupy to niewątpliwie profesjonaliści i wyraźnie to słyszą. Hogarth też świetnie sobie radzi. Jego głos operuje swobodnie zarówno w niskich, jak i wysokich rejestrach, łatwo przechodząc nawet w falset.

Radzę posłuchać „Wrapped Up In Time”, gdzie możliwości frontmana ujawniają się w pełni. Głos na tle gitary i akustycznego basu w „The Space” jest rewelacyjny. Także w innych utworach nie brakuje ciekawych momentów.

Słowem: mniej to jednak więcej. ■

Grzegorz Walenda



Barbra Streisand Love is the answer

Sony Music 2009

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●●○

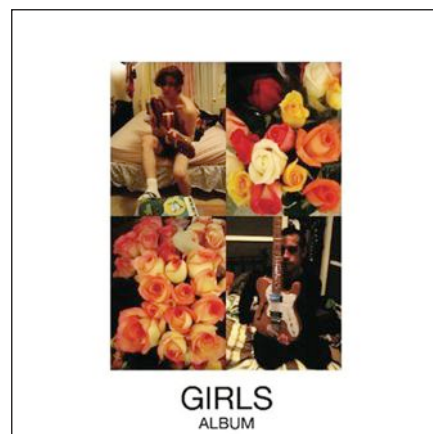
Od początku było jasne, że komercyjny sukces nowych nagrań Barbry Streisand jest nieuchronny. Na szczęście uniknięto brzmień słodkich jak krem na weselnym torcie i tkliwości w stężeniu trudnym do zniesienia. Obyło się też bez modnego chilloutowego blichtru. Koncepcja krążka została oparta na słowach Jowialskiego: „Znacie? Znamy! No to posłuchajcie...” (pomysł sprawdzony, bo w każdym jest trochę inżyniera Mamonnia) i słuchamy z przyjemnością, ponieważ płyta ma niewiele słabych punktów.

Zaskakuje wyśmienita forma wokalna artystki. Jej głos niezmiennie zachwyca szlachetną barwą, a interpretacje zdają się autentyczne i szczerze. Repertuarowo to cream de la cream – piękne piosenki, standardy wykonywane niegdyś przez Sinatrę, Brela czy Nat „King” Cole’a. Zaranżowane zgrabnie, chociaż trochę monotonna (tu minus) przez Johnny’ego Mandela, ozdobione smyczkami niczym łąki kwieciami. Świetny akompaniament producentki Diany Krall i muzyków jej kwartetu dopełnia całość. Słowem: światowo!

Płyta może być doskonałym prezentem albo skuteczną wymówką dla każdego, kto jest podejrzewany przez swą piękniejszą połowę o romantyczne wyjałowienie. Wystarczy obdarować i zaprosić do wspólnego słuchania. Efekt murowany.

Moc korzyści za rozsądną cenę. ■

Mirosław Szymański



Girls Album

Fantasy Trashcan 2009

Dystrybucja: Sonic

Muzyka: ●●●●○

Realizacja: ●●●○○

Ta płyta już w momencie wydania obrosła legendą za sprawą burzliwej biografii lidera zespołu, Christophera Owensa. Gazety rozpisywały się o nowym cudownym dziecku amerykańskiego rocka. O tym, jak spędził dzieciństwo w niebezpiecznej sekcji Dzieci Boga, jak znęcali się nad nim ojczymi i jak uciekł do San Francisco, gdzie spędził kolejne lata w biedzie i w trudnych związkach z kobietami. Wreszcie zaczął przelewać swoje żale w piosenki, założył zespół Girls i stał się pupilkim prasy oraz bloggerów.

Jego styl śpiewania porównywano nawet do Elvise Costello, charyzmę – do Roya Orbisona, a szczerść tekstów do Morrissey’a. Te określenia są zdecydowanie na wyrost w odniesieniu do debiutanta, ale na pewno warto zwrócić uwagę na „Album” przynajmniej z kilku powodów. Choć brakuje tu wybitnych utworów, „Headache” czy „Laura” urzekają ciepłym, kalifornijskim klimatem. Owens musi jeszcze popracować nad stylem, ale w „Ghost Mouth” i „Darling” słyhać fascynacje staroświeckim popem. Nie można mu też odmówić osobistego podejścia do piosenek i dużej dozy romantyzmu, którą pokazał w ponadsześciominutowym „Hellhole Ratrace”.

Nie da się jednak ukryć, że prawdziwym potwierdzeniem jego ewentualnego talentu będą dopiero kolejne albumy Girls, pozbawione już tej całej sensacyjnej otoczki medialnej. ■

Jacek Skolimowski